

Nie jestem oszalałym demiurgiem

Bogdan Sobieszek: - Zadebiutowała pani w pełnometrażowej fabule dzięki Szkole Filmowej. Czy zaproszenie od rektora Grzegorzka było formą wyróżnienia? Jakie są zalety i wady robienia filmu w szkole?

Kalina Alabrudzińska: - Zaproszenie przez Mariusza Grzegorzka do napisania i wyreżyserowania filmu dyplomowego aktorów było dla mnie ogromnym wyróżnieniem. Miałam bardzo dużo wolności artystycznej i dzięki temu, debiutując, mogłam od razu zaznaczyć, kim jestem jako twórca. Proces tworzenia „Nic nie ginie” to same zalety. Mieliśmy bardzo mały budżet, ale dla mnie i tak w filmie najważniejsi są aktorzy, emocje, to, co przeżywają i to, co po seansie mojego filmu ma poczuć widz. Nie potrzebowałam ani drogiej scenografii, ani efektów specjalnych, nie generowałam żadnych dodatkowych kosztów, żeby stworzyć to, co chciałam.

Scenariusz „Nic nie ginie” powstał na zamówienie. Jak pracowała pani nad tekstem wykorzystującym sytuację terapii?

- Terapia jest dla mnie interesującym procesem, podczas którego człowiek poznaje siebie i dowiaduje się zaskakujących rzeczy o świecie. Bardzo chciałam pokazać ten proces „na żywo”. Fascynuje mnie więź terapeuty - pacjenta i to, jak na siebie wpływają. Terapeuta w moim filmie, grany przez Dobromira Dymeckiego, jest ludzki. Nie wie wszystkiego. Zajmuje pozycję równą innym pacjentom. Pisząc scenariusz, zawsze zaczynam od postaci i to one są dla mnie najważniejsze. Kilku bohaterów miałam już wcześniej w głowie, kilku stworzyłam, pracując nad tym tekstem. W czasie pisania zbieram swoje emocje, spotkania z innymi ludźmi, wnioski z codziennego życia i buduję postacie, które potem same mnie prowadzą. Jestem też otwarta na życie, które toczy się obok mnie - często jest tak, że gdy rodzi się jakaś postać, to wokół mnie w rzeczywistości pojawia się ktoś, kto jest do niej podobny. To jest niesamowite i uwielbiam, jak to się dzieje. Wiem, że to nie jest magia, tylko prosty psychologiczny proces: gdy myślę o kolorze zielonym, nagle widzę wokół siebie wszystko, co jest zielone. Gdy myślę o innym kolorze - nagle widzę wyraźnie tylko ten kolor. Więc moje skupienie na postaci czy temacie sprawia, że łatwo mi wyodrębnić z rzeczywistości ludzi i sytuacje z nimi związane. To jest bardzo inspirujące.

Czy czuje pani odpowiedzialność za wykreowany świat? Pani film wykorzystuje przecież obraz psychoterapeuty. Gdy myślę o „Nic nie ginie” - mimo wszelkich różnic - w mojej głowie pojawia się „dokument” Pawła Łozińskiego „Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham” i problem zmanipulowanych realiów.

- Film Pawła Łozińskiego jest wybitny, terapeuta, który w nim występuje, również. Jest jednak inny od postaci z mojego filmu. Tu terapeuta pomaga pacjentom zobaczyć, kim są i w jakich relacjach funkcjonują, ale robi to z pokorą i czułością. Mam poczucie, że proces pracy terapeuty przedstawiony w filmie Pawła jest inny. Tam terapeuta wie wszystko i tylko naprowadza pacjentki na prawdę o nich. Oba sposoby są równie cenne, ale to, jak ja przedstawiłam terapię, jest bliższe mojej wrażliwości. Oczywiście, mam doświadczenie jako pacjentka, uczestniczka terapii i z niego czerpię. Jednak postać grana przez Dobromira to postać fikcyjna, a problemy przedstawione w filmie nie są moje.

Do czego w opowiadaniu był pani potrzebny humor?

- Widzę świat jako miejsce pełne absurdów, piękne i trudne. Świat też bardzo mnie bawi. Poczucie

humoru wpływa na mój sposób komunikowania się z ludźmi, więc naturalnie dotyczy to również mojej sztuki – z humorem porozumiewam się z widzami.

Mówi pani, że „Nic nie ginie” jest smutną komedią, komedią o smutnych ludziach. Czym jest smutek, o którym pani opowiada? Na czym polega ta perspektywa patrzenia i opowiadania o świecie?

– Wśród naszych rodzimych produkcji mało jest komedii. A do rzadkości należą te pokazujące świat jako coś więcej niż tylko zbiór gagów. Dlatego wprowadzam termin „smutna komedia”. Ludzie oglądają mój film i podczas seansu strasznie się śmieją, a po projekcji przychodzi moment refleksji i wtedy nie jest już im tak bardzo do śmiechu – przeglądają się w bohaterach, widzą ich złożoność, myślą o nich. Taki efekt lubię wywoływać.

Jak w pani wizji odnaleźli się młodzi aktorzy? Jak pani odnalazła się w procesie wspólnego stwarzania wymyślonych przez panią postaci? Jakie metody pracy z aktorem okazały się najskuteczniejsze?

– Uwielbiam aktorów i praca z nimi jest dla mnie ukochanym momentem podczas realizacji filmu. Moja metoda pracy to przede wszystkim – poznać się nawzajem, polubić, darzyć się zaufaniem. Potem aktor musi uwierzyć, że sam w sobie jest interesującym człowiekiem i nie musi „grać”, tylko odnaleźć siebie w postaci. Wreszcie przychodzi ten super moment, kiedy aktorzy łączą się z postaciami. I wtedy włączam kamerę.

Czy miała pani obawy, że może z tego wyjść „szkolny” film, ćwiczenie aktorskie? Jak starała się pani temu zapobiec?

– Miałam wspaniałą ekipę. Autorem zdjęć był Nils Crone – świetny operator. Jesteśmy profesjonalistami i warunki szkolne nie przeszkadzały nam w tym. Najważniejsze jednak było, żebym działała bez ograniczeń, żeby nikt nie nakładał na mnie swojej wizji. Realizowałam własną, która była na tyle dojrzała i przepracowana, że dzięki temu wyszedł film, a nie „ćwiczenie”.

Czym była konfrontacja studentów aktorstwa (zawodowców bez doświadczenia, chowanych „pod kloszem” szkoły) z planem filmowym?

– Mam nadzieję, że aktorzy poznali plan filmowy, na którym mogą czuć się swobodnie, bezpiecznie, jako współtwórcy. Mam nadzieję, że zetknęli się ze sposobem pracy, który pozwolił im czuć się dobrze. Takie było moje zadanie. Szkoła jest ostra dla studentów, czasem po kilku latach zapominają, kim są jako ludzie, gubią się. Chciałam im pomóc się odnaleźć. Mam nadzieję, że się udało.

Jakie znaczenie miała dla pani opieka pedagogiczna Mariusza Grzegorzka?

– Mariusz Grzegorzek jest świetnym pedagogiem. Gdy studiowałam, był opiekunem artystycznym moich filmów. A podczas realizacji „Nic nie ginie” pomagał mi zrobić film, który chciałam zrobić, nie narzucał swojej wizji. Tak naprawdę był obecny na początku – gdy czytał scenariusz, a potem na ostatnim etapie – gdy montowałam. Nie spieraliśmy się. Dawał cenne uwagi, które pomagały filmowi.

Jest pani w trakcie zdjęć. Co to za projekt? Czy rzeczywiście najtrudniejszy jest drugi film? Co jako reżyserce dał pani debiut? Od jakich złudzeń uwolnił?

- Niestety, nie mogę nic powiedzieć na temat tego, nad czym aktualnie pracuję. Chociaż bardzo bym chciała! Jestem osobą stojącą twardo na ziemi. Nie mam złudzeń co do pracy zawodowej. Wiem, że trzeba pracować i być cierpliwym. Wiem również, że wiele w tym zawodzie zależy od przypadku. Robienie filmów jest dla mnie bardzo ważne, ale oprócz tego mam jeszcze życie, o które dbam.

Czuje pani jakąś pokoleniową więź z innymi młodymi reżyserami? Co was łączy?

- Mam wśród znajomych i przyjaciół kilku reżyserów, dogadujemy się przede wszystkim prywatnie. O filmach już mniej rozmawiamy. Artystycznie jesteśmy inni, ale łączy nas to, że podchodzimy do ekipy i aktorów przyjaźnie. Dobrze się traktujemy podczas pracy na planie zdjęciowym. Szanujemy granice innych. Przeczmy stereotypowi reżysera, który jest oszalałym demiurkiem, który wprowadza terror na planie. Lubimy naszą pracę i innych ludzi. To nas łączy.

Kalina Alabrudzińska

Scenarzystka i reżyserka filmowa. Absolwentka (2016) Wydziału Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej Szkoły Filmowej w Łodzi oraz Kursu Reżyserii Dokumentalnej Wajda School & Studio.